

W poniedziałki o północy albo trochę później zjawiam się w Greek Mythology na Taipie, gdzie gram, gdy nie mam dokąd iść, gdy znudzą mi się Fernando's i Clube Militar oraz burdeliki przy Avenida da República. Lubię to miejsce, dlatego że nie ma tam żadnych gwiazd chińskiej telewizji i dlatego że personel zna mnie z widzenia. To jedno ze starszych kasyn, wiekowe i podupadłe. Stolarka cuchnie dymem, a wykładczyńce cechuje urocza zjełczała gąbczastość, którą lubią moje angielskie buty. Chodzę tam mniej więcej co drugą weekendową noc, przegrywając tysiąc dolarów tygodniowo z mojego Niewyczerpanego Funduszu. Chodzę tam, żeby szastać swoimi juanami, swoimi dolarami, swoim *kwai*, a przegrywanie jest tam łatwiejsze niż wygrywanie, sprawia większą przyjemność. Bardziej przypomina wygrywanie niż samo wygrywanie, a każdy wie, że nie jesteś prawdziwym graczem, dopóki w głębi duszy nie wolisz przegrywać.

Lubię bary zaopatrzone w wina Great Wall i Dragon Seal, które można mieszać z napojem Dr Pepper. Lubię Greków. Zeusa na szczycie złotych schodów i fryzy z centaurami. Lubię recepcjonistki w wiśniowych kapelusikach, gotowe się z tobą przespać, jeśli wystarczająco dużo zapłacisz. Podoba mi się nawet opuszczone rondo na końcu ulicy, gdzie mogę pójść odetchnąć, kiedy mam złą passę. Jakimś cudem powietrze w Makau zawsze jest rześkie i czyste, chyba że akurat robi się cuchnące i wilgotne. Otaczają nas wzburzone morza.

W Nowy Rok zebrał się tu kontynentalny tłum: zalew z pobliskich miast, Kantonu i Szenczen, oraz z ich dusznych przedmieść. Ludzie wyglądają jak kruki, jak stada ptaków. Zastanawiam się, co myślą o malowidłach ściennych przedstawiających szczęśliwe nimfy. Można tu spotkać agrafkowych milionerów, dyrektorów fabryk znad Rzeki Perłowej, właścicieli rodzinnych firm produkcyjnych wyspecjalizowanych w klawiszach do klawiatur komputerowych, trybikach do zabawek i przekładniach zębatych do kosiarek. Wszyscy przybyli po to, żeby przepuścić zarobione z trudem pliki banknotów na *I Ching*. Drzwi mają uwielbiany przez Chińczyków jasnozłoty kolor, a wykładzina ciemnoczerwona, za którym także przepadają i który jest ponoć kolorem Szczęścia. Kropliste żyrandole zwisają z sufitów ozdobionych scenami z obrazów Tiepola, tyle że zefiry obdarzono skośnymi oczami. Korytarz wpływa w korytarz, w niekończący się system korytarzy, jak w każdym kasynie w Makau.

Wchodzę do holu. Na szklanych ekranach waz zastygły podobizny Konfucjusza i nagich dziewcząt. W prywatnej sali, widocznej tylko przez chwilę, dwaj chińscy gracze co minuta wykładają na stół sto hongkońskich dolarów, ale robią to z ostentacyjną ospalością i obojętnością *macho*. Jeden z nich pali olbrzymie cygaro z otwartego pudełka bezpłatnych hawańskich cygar, strzepując popiół do metalowej konchy mającej współgrać z tanimi reprodukcjami Botticellego wtopionymi w niebieskie ściany. Ręce zaczynają mi się pocić w rękawiczkach, które zawsze noszę w kasynach. Zapach

wpadający mi krętą smużką do nosa to woń ludzi skupionych na swoim pechu, pocących się tak jak ja z powodu popsutych wentylatorów.

Gra się tutaj w bakarata punto banco. Nie wymaga on żadnych umiejętności i dlatego Chińczycy go lubią. Każdy stół ma pionową elektroniczną tablicę wyświetlającą desenie Szczęścia w postaci matematycznych trendów w kolumnach cyfr. Tłum zbiera się wokół tych tablic, żeby zdecydować, które stoły przynoszą Szczęście, a które nie. Analizuje kolumny liczb zmieniające się odrobinę po każdym rozdaniu. Te desenie Szczęścia to sposób ilościowego określenia wiatrów zmian i śmiem powiedzieć, że zachodnie oko nie jest w stanie niczego z nich zrozumieć. Ale przecież nie są przeznaczone dla naszych oczu.

Siadam i wyjmuję portfel z krokodylej skóry. Gram w żółtych giemzowych rękawiczkach i wszyscy uważają mnie tam za jakiegoś lorda, za lorda uciekiniera mającego złą passę, którą można przezwyciężyć mocami *I Ching*. Kelner pyta, czy chcę następnego drinka, może butelkę szampana? Zamawiam butelkę tego albo tamtego, myśląc: „Prędej czy później i tak ją wypiję, zawsze wypijam”. Mimo to chyba nigdy nie jestem pijany. Przy stole siedzi kobieta w średnim wieku i nikt więcej. Spogląda na mnie znad okularów i ma w oczach typową ksenofobiczną nienawiść, a mimo to zachowuje się kokieteryjnie, przy stołach do gry jest profesjonalistką, wystroiła się w ciuchy z centrum handlowego w Tsim Sha Tsui. Gra zbieraniną kontynentalnego *kwai* i hongkońskich dolarów, dorzucając kilka okolicznościowych monet dla turystów. Łatwizna, myśli sobie, spoglądając na pulchnego *gwai lo* w rękawiczkach i muszce, wyglądającego jak profesor literatury z Nowej Anglii, który wypuścił się na miasto bez pozwolenia żony. Mierzy mnie wzrokiem, suka, a ja delektuję się myślą o oskubaniu jej do cna dzięki kilku dobrym rozdaniom. Zachęca mnie to do przyłączenia się do gry.

Obstawiamy po pięćdziesiąt hongkońskich dolarów. Jak zwykle zaczynam palić: „wzgórze czerwonej pagody” i zongnanhaie – papierosy, które zabijają. Rozdający rzuca mi szybkie spojrzenie. On też mnie rozpoznaje, w całym mieście jest tylko garstka grających *gwai lo*.

– Wiatr – mówi – wieje dziś ze złej strony.

Mam się wycofać? „Przecież – myślę – ta suka wygrywa. Wysysa ze mnie pieniądze”. Nie, nie.

– Gram dalej – mówię.

– Na pewno?

– Na pewno.

Podwajam stawkę. Wykładam po sto dolarów na trzy kolejne rozdania i patrzę, jak z n i k a j ą p o d r u g i e j s t r o n i e s t o ł u .

– Sto pięćdziesiąt – mówi kobieta po mandaryńsku, rzucając zielony żeton na środek jeszcze zieleńszego stołu.

– Dwieście – mówię po kantońsku.

- Dwieście pięćdziesiąt.
- Trzysta pięćdziesiąt!
- W porządku – wzdycha.

Rozgrywamy cztery partie i trzy przegrywam. Na stole pojawia się talerz *bacalhau* i kobieta z nieskrywaną lubością sięga po papierowy widelec. *I Ching* jej sprzyja.

Teraz widzę, ile złota ma na sobie. Podnoszę się chwiejnie, postanawiając wycofać się do męskiej toalety i ochłonać. Rozdający pyta z wahaniem: „Sir?”, ale uspokajam go machnięciem ręki.

- Zaraz wracam – mówię.

Nigdy nie odpuszczam nocy, dopóki nie jestem gotów paść. Odchodzę, jakby nie miało to dla mnie najmniejszego znaczenia. Jakbym naprawdę zamierzał wrócić z toalety i oskubać ją do cna, i jestem pewny, że to zrobię.